



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.
Ekspedycyja główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Swiat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

Z ALBUMU

p. Olimpii Wr.

Wspomnij mnie kiedy—pomyśl czasami:

„On gdzieś daleko na krańcach świata,
Jak suchy listek buja z wiatrami,
Jak błędny obłok morza przelata....”

Pomyśl czasami:—„On gdzieś stęskniony,
On gdzieś samotny, milezący, smutny,
Zwiedza najdalsze, najdalsze strony,
Błądzi na puszczy, jak duch pokutny.

„Podrównikowe pał go znoje,
Na wścieklej fali huragan miota;
Wszystkie dni jego—wędrowka, boje,
A całe życie—nuda, zgryzota—

„A całe życie ból nieskończony,
Nierozwikłany, zakłętą wątek:
Wieczne wspomnienia rodzinnej strony,
Wieczna pielgrzymka w świecie pamiątek.”
Henryk Jabłoński.

ZADANIA MORALNE

skreślił

Bronisław Chlebowski.

IV. Moralny charakter sztuki i nauki.

Człowiek jest istotą moralną; na tem zasadza się jego charakterystyczna różnica od innych istot i niezaprzeczona nad niemi wyższość. Moralność człowieka polega na świadomym i swobodnym urzeczywistnianiu wymagań, mających swe źródło i uzasadnienie, tak w istocie naszego ducha, jak i w zewnętrznych stosunkach i warunkach życia. Ażeby wypełniać należycie te wymagania, należy je pierwiej poznać, zrozumieć i ująć w formę ściśle określonych obowiązków.

Religia, sztuka, nauka i filozofia, — oto cztery różne drogi, któremi duch ludzki zdążył i zdąży ciągle do rozwiązania zagadki swego bytu, do poznania swych prawdziwych przeznaczeń i uchwycenia ideału przyświecającego z oddali, lecz niedającego się ująć w formy zmysłowe. Te cztery drogi stanowiły niegdyś jedną skromną ścieżkę, po której budzące się ze snu pierwotne społeczeństwo stawiało pierwsze nieśmiałe kroki. Kiedyś znowu, po wielu wiekach, zleją się one niezawodnie w jeden szeroki szlak, po którym świadoma siebie i swych celów ludzkość podaży wspaniałym pochodem ku ostatecznemu przeznaczeniu.

„Kto posiada naukę i sztukę, ten ma zarazem i religię, kto zaś ich nie posiada, temu pozostaje religia”. W słowach tych niemiecki poeta nie twierdzi bynajmniej, że wiedza i poczucie estetyczne zastępują religię, która tym sposobem byłaby

zbyteczną dla uczonego i artysty: chciał on tu jedynie wyrazić, że prawdziwa nauka i godnie pojmowana sztuka umacniają i utrwalają ten węzeł pomiędzy człowiekiem a Bogiem stanowiący istotę wszelkiej religii.

Ideał człowieka, na którego stopniowem urzeczywistnianiu polega cały postęp w umoralnieniu, jest dziełem rozumu i fantazyi zarazem.

Rozum za pomocą doświadczenia i reflexyi dochodzi do mniej lub więcej prawdziwego, głębokiego i jasnego pojęcia o istocie i przeznaczeniu człowieka; fantazyja zaś na tej podstawie stwarza typ idealny przyoblekający pojęcie, jakie człowiek wytworzył o sobie, w formy zmysłowe, będące odbiciem czasowych i miejscowych warunków bytu pewnego społeczeństwa. Ztąd im wyższego szczebla rozwoju umysłowego dosięgło pewne koło społeczne, tem prawdziwsze i głębsze wytwarza sobie pojęcie o człowieku, tem wyraźniej uwidatnia w swym ideale przewagę ogólnoludzkiego piętna nad narodowymi i czasowymi znamionami.

Forma zresztą rozwija się i doskonali razem z treścią. Gdzie niema idei, tam niema ideału—gdzie rozum uśpiony tam i fantazyja błąka się samopas, niemając siły i wskazówek do zaprowadzenia pewnego ładu w chaosie form, jakich jej dostarcza świat zewnętrzny. Zarówno dzieci jak i ludy w stanie dzieciństwa umysłowego zostające nie umieją panować nad formami, ponieważ zbywa im na myśli rozumnej, na idei, która jedynie nadaje tym formom znaczenie, życie i piękność. Podobny skutek sprawia także zbyt duża przewaga fantazyi nad rozumem, stanowiąca cechę ludów wschodnich. Ubóstwo myśli przy słabym rozwinięciu fantazyi utrzymuje sztukę na tym niskim stopniu, jaki znajdujemy na przykład w Chinach; przewaga fantazyi znowu sprowadza bogactwo i przepych form snujących się nieskończonym ciągiem arabskich, tak samo w plastyce jak w poezyi. Prawdziwa sztuka powstała tam dopiero, gdzie się ukazała prawdziwa wiedza i prawdziwy człowiek: w Gre-

cy. Tam poraz pierwszy treść przeniknęła formę, duch wyblśnieł z cielesnych obłon, idea odbiła się w idealnych typach, a sztuka stała się wielką moralną potęgą, prawdziwą mistrzynią młodzieńczego ducha.

Rozum ludzki mimo swej zdumiewającej siły i bystrości, schodzi niejednokrotnie na bezdroża i uwiedziony złudnemi blaskami, goni jako prawdę błędny ogień, który za zbliżeniem się znikną, pograżając człowieka w ciemnościach bez wyjścia. Na szczęście, dusza nasza, jak mityczna Psyche, posiada skrzydła, na których ulatuje ponad ziemskie mgły i ciemności, by z wyżyn powietrznych dostrzedz zatraconą chwilowo drogę, przekonać się, iż ciemności, w jakich zbłądziła, mają swój kres niedaleki, że jak owe zabójcze wyziewy „Psiej groty“, szkodzą tylko tym, co nie chcą lub nie umieją wznieść się ponad sferę poziomych pojęć i interesów. Skrzydłem tem dla człowieka jest fantazyja wznosząca go ponad mglistą atmosferę życia powszedniego, ponad labirynty ścieżek, które rozum nasz z energią kreta przedziera się dla zdobycia prawdy, w sfery światła, przy którym człowiek i jego ziemskie otoczenie inną całkiem przybierają postać. Znika w nich wszystko przypadkowe, zmienne, fałszywe, a występują niewidzialne przedtem istotne cechy; idea przenika i przekształca zmysłowe formy i w harmonii treści z zewnętrzną jej powłoką urzeczywistnia się tak upragniona dla nas prawda. Jestto ten sam świat, to samo otoczenie, tylko odtworzone tak, jak się przedstawiają duchowemu wzrokowi artysty, odpowiednio do siły, z jaką fantazyja jego może uchwycić i zatrzymać wszystkie szczegóły krótkich momentów tego jasnowidzenia duchowego, zwanego zwykle natchnieniem, i odpowiednio do stopnia rozwinięcia umysłowego, które umożliwia mu zachowanie mniej lub więcej ściśle w tym idealnym świecie praw rządzących światem realnym. Bez udziału fantazyji sztuka staje się suchą fotografią rzeczywistości, protokołem życia powszedniego mniej lub więcej zrezygnacyjnie; bez udziału rozumu znowu przechodzi w fantasmagorię, dziecinne bawidółko lub chorobliwe rozbijanie fantazyji. Utwór sztuki musi być pięknym, ale zarazem moralnym i prawdziwym, odtwarzając rzeczywistość widzianą okiem ducha, a nie tylko cielesnym.

Kwestya tendencji w sztuce nietrudno, sądźmy, rozstrzygnąć się daje z naszego punktu widzenia. Twierdzenie, iż sztuka jest sama sobie celem, może być wtedy tylko uzasadnionem, kiedy się opiera na zupełnej samoistności władz duchowych. Pod wpływem warunków ustroju naszego fizycznego organizmu przypisujemy i duszy odrębne organy z odrębnymi zupełnie funkcjami, zamiast jednakże trzymając się tej analogii przenosić solidarność, harmonię życia fizycznego, w sfery duchowe, wyosobniamy tu pojedyncze dążności i rozstrzelamy życie duchowe na kilka odrębnych niezależnych kierunków. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, iż wielkie fizyczne i społeczne prawo rozdziału pracy stosuje się i do życia duchowego; lecz, jak w przemyśle fabrycznym zajęcia rozdzielone między robotników skupiają się w ostatecznych rezultatach, tak i w duchowych dążeniach widzimy zawsze stopniowe i harmonijne zmiernanie do zjednoczenia.

Sztuka i nauka, jak to już powiedzieliśmy wyżej, to tylko dwie różne drogi do jednego wiodące celu, dwa różne sposoby odtwarzania i urzeczywistniania ideału, w którym piękno i prawda zespalają się harmonijnie. Tendencyjność wtedy tylko staje się wadą w dziele sztuki, gdy paraliżuje działanie fantazyji, lub gdy ta ostatnia zręka się w części choć swych wymagań na rzecz rozumu, — słowem, gdy skutkiem przewagi rozumowej lub moralnej dążności znikną w utworze artystycznym harmonia formy z treścią, a z nią prawda i piękno postaci, sytuacji, obrazów; gdy widz lub czytelnik nie czuje się przeniesionym w inne otoczenie i wyższą sferę, lecz widzi dokoła siebie albo zwykłą prozę codziennego życia, albo świat marynetek poruszanych przez mówiącego za nie autora. Duch ludzki jest punktem wyjścia, a doskonałość jego ostatecznym celem wszystkich naszych wyższych dążeń. Samoistność sztuki i nauki polega jedynie na odrębności sfery i środków działania. Idea moralna

przewodniczyć winna każdemu artyście i uczonemu w ich usiłowaniach, jeżeli chcą osiągnąć trwałe rezultaty. Jak w nauce samo doświadczenie i obserwacya, sam choćby najbogatszy materiał na niewiele się przyda, jeżeli badaczowi nie przyświeca idea wyższego porządku we wszechświecie, pozwalająca mu dopiero dopatrzyć się ogólnej harmonii i prawidłowości w szczegółach, tak samo artysta mimo największej potęgi fantazyji i biegłości technicznej, nie stworzy prawdziwie pięknego i trwałego dzieła, jeżeli doskonałością formy nie przyoblecze wyższej, moralnej idei.

Tendencya wtedy razić może nasze poczucie estetyczne, gdy została mechanicznie tylko, nie zaś organicznie, spojona z pewną formą artystyczną. Zapewne, jestto niemała trudność wcielić wielką moralną ideę w odpowiednie formy, pogodzić wymagania etyczne z estetycznymi: i ztąd-to większość artystów woli trzymać się łatwiejszej zasady: „sztuka dla sztuki“ i odtwarzać same piękne formy, pod którymi albo niema żadnej myśli, albo też tkwi jakaś nieokreślona błaha idea kryjąca swe ubóstwo pod przepychem wykonania. Z drugiej znowu strony ludzie, u których zdolności artystyczne nie odpowiadają bogactwu myśli, daremnie się nieraz mozola nad wcieleniem swych idei w piękne formy i wydają najczęściej na świat potworne produkey, niemające ani moralnej, ani estetycznej wartości. W ostatnich czasach mianowicie to rozdwojenie między ideą a formą artystyczną na każdym kroku spotykamy. Z jednej strony traktaty filozoficzne, społeczne, polityczne pod formą dramatu, powieści, poematu; z drugiej przepych bezmyślnych form w architekturze i malarstwie, operze i komedii, fotograficznie wierny i drobiazgowy realizm, obywający się zarówno bez idei jak i nawet, bez form estetycznych.

Nauka dwojakim sposobem przyczynia się do umoralnienia człowieka: odkrywając tajniki przyrody i ujarzmiając jej potęgę dla naszych celów, wyzwala stopniowo człowieka z zależności od tej dobroczynnej lecz nieubłaganej zarazem opieki; z drugiej znowu strony roznieca w duszy światło, pozwalające nam coraz głębiej i szerzej rozpatrywać się w tajnikach naszej własnej istoty, rozpoznawać źródło i cel ostateczny tkwiących tam sił, pragnień, idei.

Wyswabdzając i uduchowiając zarazem człowieka nauka wyjaśnia i umacnia związek pomiędzy nim a Bogiem przez wykazanie wszechobecności, wszechpotęgi i niezmienniej trwałości praw rządzących światem dostępnym dla zmysłów i umysłu. Nic, zaiste, nie podnosi tak ducha ludzkiego jak zastanowienie się nad najnowszymi rezultatami nauk przyrodzonych, wykazującemi wspaniałą prostotę i harmonię zarówno w składzie atomu jak organizmie człowieka i układzie wszechświata. O ile się wtedy czujemy słabymi fizycznie jako wiązanka drobnoucznych komerek i pyłków, o tyle duch nasz, ogarniający i odbijający w sobie cały wszechświat, odgadujący coraz głębiej plan jego budowy — tem większego nabiera znaczenia i majestatu. To przeświadczenie o wyższości ducha nad ciałem o wyższości dążeń i potrzeb duchowych nad fizyczne popędy, stanowi właśnie ważny czynnik umoralnienia. Przewaga duchowych dążeń nie powinna jednak prowadzić do lekceważenia fizycznych wymagań. Działalność władz duchowych ściśle się wiąże z funkcjami naszego organizmu. Znużenie fizyczne, długa bezsenność — paraliżują energię najgenialniejszej inteligencji; napływ krwi do mózgu pozbawia nas przytomności i woli. Każde niemal zбочenie w funkcjach organów fizycznych wywiera mniejszy lub większy wpływ na działanie władz duchowych. „Zdrowy umysł w zdrowym ciele“: oto pierwszy warunek urzeczywistnienia ideału człowieka. Niezawsze wprawdzie możemy uchronić swe zdrowie od szwanku, ale nie ulega wątpliwości, iż w rzadkich tylko wypadkach choroba bywa koniecznym wynikiem, bądź dzieł dziecinnych, bądź innych, niezależnych od nas, wpływów, najczęściej zaś źródłem jej jest ciemnota, niedbalstwo i niewstrzemięźliwość ludzka. Wprawdzie przychodzimy już na świat z pewnym temperamentem, t. j. odrębną właściwością w działaniu systemu nerwowego i zależnych od niego funkcji; zawsze przecież, z wyjątkiem chorobliwych zбочeń, racjonalne wychowanie, a następnie nasza

dobra wola i świadomość własnych słabości, mogą wyzwolić człowieka, do pewnego stopnia przynajmniej, z niewolniczej zależności od popędów zdrowego i zбочeń nienormalnie rozwiniętego organizmu. Ztąd też stopień odpowiedzialności moralnej łączy się ściśle ze stopniem umysłowego rozwinięcia i zdrowia fizycznego. Ztąd także nauki przyrodzone i oparta na nich higiena przedstawiają niezmierną moralną doniosłość zarówno przez światło, jakie rzucają na stanowisko człowieka we wszechświecie i stosunek do ziemskiej przyrody, jako też przez dostarczanie nam środków i wskazówek dla utrzymania w fizycznym organizmie tej pożądanej harmonii i równowagi, którą zwykle zwiemy zdrowiem. Skutkiem ścisłego obowiązku pomiędzy duchem a ciałem zdrowie zupełne jest niezbędnym warunkiem swobodnego i należytego wypełniania moralnych naszych obowiązków. Walka z cierpieniem, choćby się zakończyła zwycięstwem, zawsze jednak zużywa dużo energii moralnej i nigdy nie wraca tej swobody, jaką cieszymy się w stanie zdrowia. Cierpienia fizyczne wprawdzie dość często podnoszą moralnie ludzi, czyniąc ich obojętnymi na materialne uciechy życia, częściej przecież zubożniają także na jego moralne cele i wyższe duchowe dążenia i przemieniają w ślimaków zajętych wyłącznie własnymi dolegliwościami. Wszelkie procesy duchowe, wszelkie usiłowanie umysłu, uczucia i woli, pociąga za sobą zużycie odpowiedniej ilości energii fizycznej. Dlatego też duch genialny, nie posiadający na swe usługi odpowiednio silnego organizmu, albo nie rozwija się w całej pełni, albo też sprowadza w organizmie przedwczesny rozstrój i śmierć.

(Dokończenie nastąpi)

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Kaczor z miną pokorną wsunął się do kancelaryi.
— Nogi całuję, jasnie wielmożnego sędziego.
— Hm! dawnośmy się nie widzieli. Cóż porabiasz?
— Zwyczajnie, biedę klepię — rzekł Kaczor.
— Cóż słysząc w Sierhinie?
— Tak dalece nie wiem.
— Tu się nieco zakrzusił Kaczor i zakaszłał.
Sędzia powoli wstał z krzesła i papier leżący przed sobą schował za suknię. Nie uszło to baczności Kaczora.
Gospodarz poszedł ku oknu.
— Co tam na dworze? wieczór piękny?
— Niczego — potwierdził komornik.
— To możebyśmy się przeszli? zagaił Czemerzyński, bo mam do pomówienia z acanem.
— Jak pan każe.
Wdziawszy czapkę, Czemerzyński kij wziął z kąta i poszedł przodem. W dziedzińcu cicho było i pusto; gromadka ludzi tylko stała, jakby oczekując u lamusa, pod przewodnictwem Brackiego. Byli to dworacy, fernali i służba różna: jeden z nich ostentacyjnie na ramieniu trzymał kobierczyk. Bracki miał w ręku godło swych funkcji — bizun.
Widok tych przygotowań tajemniczych dziwnie uczynił wrażenie na komorniku. Nogi krzywe zgięły się pod nim mocniej jeszcze, odmawiając posługi.
Czemerzyński kroczył wprost ku lamusowi; widząc, że Kaczor wlece się powoli, odwrócił się ku niemu.
Komornik nieco przyspieszył kroku. Robiło mu się mdło.
Wtem sędzia przywołał pisarza.

— Bracki! chodź-no pan tu. Odczytaj to pismo komornikowi. Potem weź pan—już wiesz co masz czynić.

— Tak jest, jasnie panie!

— Dobranoc—kiwnawszy głową, zakończył sędzia i z powagą zwrócił się z powrotem ku dworowi.

Przez chwilę słysząc było jakąś wrzawę około lamusa, potem śmiechy gawiedzi, lecz wkrótce wszystko ucichło. Za wyspą zaturkotał wózek.

Sędzia siadał do wieczerzy, gdy wszedł Bracki.

— A co tam?—zapytał.

— Wedle rozkazania, jasnie pana—rzekł pisarz.

— Napij się asan kieliszek wódki.

Tak dzień ten pamiętny zakończył się w Łopatyczach. Skutki jego nie ograniczyły się wszakże na dniu jednym. Czemeryński, wzburzony, poszedł do łóżka, niespokojnie spał, wstał gniewny. Ludzie w ganku mówili, że do jasnie pana ani się zbliżać.

Późno już w nocy tego dnia, gdy Strukezaszyc pacierze, chodząc, odmawiał jeszcze, zaturkotało. Domyślił się zaraz, że Kaczor musiał z Łopatycz powrócić. — Cekał nań czekał, pół godziny, trzy kwadranse, a niewidząc przybywającego, chłopca zawołał:

— Komornik przyjechał?

— A jest, proszę pana.

— Cóż? gdzie u licha?

— Położył się zaraz, powiada, że go febra trzęsie!

— Co? febra? Hm.

Strukezaszyc dokończył pacierza i poszedł sam na folwark do komornika.

Świeca już była zgaszona.

— Śpisz?—zapytał Hojski.

Jęklawy głos odpowiedział:

— Chory, chory.

— No, to niech ci p. Blandyna mięty zgotuje. He! Nie było odpowiedzi.

Strukezaszyc, postawszy nieco, widząc, że nie nie dopyta, odszedł.

Nazajutrz rano komornik po kawie wstał, lecz widać było na nim skutki wczorajszego paroxyzmu. Żółtki przez noc jak wosk, oczy miał krwawo zabiegłe i ręce mu się trzęsły.

Zaczął go wypytывать Hojski o przyczynę nagłej słabości i dowiedział się, że wieczór był bardzo zimny i wilgotny.

Około południa Kaczor się miał lepiej, prosił jednak o folę, gdyż, jak utrzymywał, siedzieć nie mógł dla zawrotów głowy. Przeleżał dzień cały. Prawie gwałtem go miętą pojono. Starania panny Blandyny i spoczynek wkrótce postawiły go na nogi.

O przygodzie swej około lamusa nie pisał ani słowa; z niesłychaną tylko gorliwością wziął się do sprawy łopatycznej, tak że Strukezaszyc go teraz raczej hamować musiał niż podpędzać. Szło też przewybornie i nad podziw szczęśliwie. Spieszni krokami zbliżano się do tradycyi, a woźni po woźnych zajeżdżali z papierami do Łopatycz.

Czemeryński, czy nie miał nadziei obronienia się, czy coś innego knował, przyjmował to niemal obojętnie. Straszno było tylko spojrzeć na niego. Ten, dawniej tak piękny, mężczyzna, wychudł straszliwie, zmienił się, zapadły mu policzki i oczy, po kilka dni chodził nie ogolony, godzinami siadywał jak nieprzytomny, patrząc w ziemię.

Francuzka wybierała się, niemogąc ruszyć bez grosza, a ten jej obiecywano z dnia na dzień. Sędzina z łóżka nie wstawała, we dworze dawała się czuć nadechodząca ruina. Sługi ją czuły, rozpręgało się wszystko. Czemeryński zdawał się nie nie widzieć.

Papiery prawne gromadziły się na biurku, prawie nietknięte. Czemeryński odbierał je, rzucał na kupę—i, jakby wiedząc o nich nie chciał.

Tymczasem tradycya już była zapowiedziana; Czemeryński się nie bronił. Nawet w Sierhinie wydawało się to dziwnem.

Śliwka, do którego to bynajmniej nie należało, po długim wahaniu się, gdy już co chwila owej tradycyi spodziewać się było można, niespokojny, przeżegnawszy się, poszedł do kancelaryi Sędziego. Tu on teraz najczęściej całe dnie, w krześle, z rękami skrzyżowanymi i głową spuszczoną, przepędzał jak zdrgnięty.

Zobaczywszy Śliwkę, oczy podniósł,

— A co znowu?—zamruczał.

— Jasnie pan daruje, że ja się tak osmielam — bąknął ekonom—czuję się w obowiązku.

Dziś, jutro nam dwie wioski, słyszę, Strukezaszyc ma tradować.

— Proszę? — tylko dwie?—odezwał się Czemeryński—a Łopatycz nie?

Ekonom, zbity z tropu, nie wiedział co odpowiedzieć.

Trwało milczenie minut kilka.

Sędzia się zdawał namyslać.

— Co jasnie pan każe?—zamruczał Śliwka.

— A, nie—rzekł Czemeryński—nie. Tylko, ja, nim oni mnie zatradują, chciałbym im też dać byka za indyka. Dawno o tem myślę.

Ekonom słuchał ciekawie.

— Acan wiesz—mówił sędzia zwolna—że ten las na dyferencyi, to ukochane dziecko p. Strukezaszycy. Tam chłopom nawet po susz jeździć nie wolno. Śliczny las.

— A już to sosny, choć na maszty!—dorzucił Śliwka.—Co las to las! Pięćdziesiąt lat w nim może nie powstała siekiera!

— Otóż, uważaj, mój Śliwka—dodał powolnie Czemeryński. Ile ty ze wszystkich wiosek, nim je zatradują, możesz mi dać ludzi z siekierami?

— Z siekierami!—powtórzył Śliwka, niedobrze rozumiejąc.

— Tak, z siekierami—mówił sędzia.

Ekonom począł liczyć, pomagając sobie palcami.

— Kilkuset najmniej stanie—rzekł namysliwszy się.

— A jakby wyszli do dnia i poczęli Strukezaszycowi ten las rąbać? Toć-by go do nocy, jeżeli nie położyli na ziemi, przynajmniej-by się przez niego świeciło? Małych drzewek niema co rąbać, same najlepsze tylko—dodał sędzia. Sierhinscy chłopci, gdyby i wystąpili, co oni nam zrobią?

Śliwka stał tak zdumiony, że prawie mówić nie mógł.

— Ależ to, proszę jasnie wielmożnego pana, to proces okropny.

— Tak, proces okropny—potwierdził Czemeryński, ale ja już ich z tym człowiekiem mam kilka. Jednym mniej, jednym więcej, nie mi już nie dolegnie—a satysfakcyę-bym miał, bo-by się bestya wściekała ze złości.

— A nuż będą bronili?—spytał ekonom.

— A my to rąk nie mamy?—odparł Czemeryński.—Strzelców i leśników ze strzelbami postawić trzeba na przedzie. A nawinie się kto—palić!

— Ale, jasnie panie.

— Ja odpowiem!—dorzucił sędzia—sprawa moja. Po małym przestanku Czemeryński począł znów zwolna i jakby pieszcząc się tą myślą.

— Sprawi mi te satysfakcyę.—Naturalna rzecz, że ani acan, ani Bracki nie będziecie darmo komenderowali. Pieniądzy teraz nie mam, więc i nie obiecuję; ale para koni ze stada do wyboru dla waszeczki, kobyła ze źrebięciem dla pisarza. Dla gromad kufa wódki, choćby dwie.

Spojrzał na Śliwkę; ekonom stał z głową trochę spuszczoną, rachować się zdając. Zbytniej w nim ochoty do tej wyprawy nie obudziła nawet para koni ze stada.

— Co acan na to?—spytał sędzia.

— Ciężki orzech do zgryzienia—osmielił się powiedzieć Śliwka.

— Ja—nie przymuszam—rzekł Czemeryński.—Uchowaj Boże. Nie zechcesz acan... z Panem Bogiem! Od św. Jana miejsce stracisz, a ja do komenderowania gromadami wezmę innego.

Śliwka się skłonił.

— Ale-bo ja nie mówię! nie odrzekam się—prerwał żywo. Tylko, że człowiek ma żonę i dzieci, a nuż—kto ich wie!

— Jak ci się podoba!—powtórzył sędzia. Ja, com sobie obmyślił—zrobię. Dla mnie będzie jedyna satysfakcyja, przy tych moich kłopotach. Czy ty, czy kto inny—a las wyciąć muszę, inaczej-bym źle wyszedł. Na śmiech się nie podam.

Skłonił się ekonom.

— Jak pan każe, niema co! słuchać trzeba—a kiedy to ma być?

— Kiedy? jutro ludzi ściągnąć, i to pocichu, parę nawet z ust nie puścić. Niech się zbierają do Łopatycz, niewiedząc na co i po co. Pojutrze do dnia na dyferencyę i—walić!

Im prędzej tem lepiej. We dworze powiedzieć że obława.

Czemeryński widząc, że już do skutku doprowadzi dzieło, wstał jakiś rzeświejszy; przybyło mu życia, twarz się uśmiechnęła.

— Niech potem traduje—dodał pół głosem—z tradycyi jak z czyścica można wyjść, a gdy mu las położym, już drugiego i syn nie doczeka. A co wart Sierhin bez lasu!

Rozśmiał się.

— Niech mi potem wioski tradują!—mruknął.

Zbój ten zdechnie ze złości.

Pierwszy to był wieczór od powrotu z Warszawy, w którym sędzia zdawał się nieco weselszym. Poszedł do żony, a ta, zobaczywszy go nieco rzeświejszym, mniej zamyslnym, niezmiernie się uradowała. Odżyła i sama, ukochanego swego zobaczywszy w lepszym humorze.

— Moja duszeczko—rzekła—mnie się dziś nasza Leonilka śniła, taka wesoła jakaś, szczęśliwa, rzuciła mi się na szyję, jak to ona od dziecka zwykła była, i powtarzała mi ciągle:—Nie bój się, mateczko, o mnie.

Wspomnienie córki zamiast pomnożyć wesołość sędziego, znowu go trochę zasępiło; ale się otrząsał prędko. Żył cały zemsta. Pomścić się srodze na prześladowcy swym—było jedyną myślą jego.

Cały dzień nazajutrz pocichu się dowiadywał od Śliwki, który pokazywał się i znikał: jak tam idzie z gromadami? czy dużo będzie ludzi? czy strzelcy są w pogotowiu?

Ekonom krzątał się niesłychanie, z gorączką ludzi jemu podobnych, powołanych do niezwykłych czynności, obiecujących zarobek. A że gromady trzeba było traktować i samemu do starszyny przepijać, nad wieczorem i on Bracki, ledwie się na nogach trzymali.

Wyprawa była komenderowana jak świt, gromady więc z dalszych wiosek musiały wyruszyć po nocy. Punkt zborny był na Dziwulach, z kąd ludzie się mieli rozejść na skraj dyferencyi od Sierhina i począć ciąć ulubiony las Strukezaszycy. Ekonom ledwie się na chwilę odziany położył, aby się, broń Boże, nie przypoźnić.

Kilka poprzedzających dni było mglistych; i nazajutrz się spodziewano takiego dnia, bo na noc mgła gęsta padła na pola i lasy.

Dziwny to był zaprawdę widok tej małej polanki i gościńca pod krzyżem, gdzie po północy już częściej gromad obozowała. Ludzie, małych kilka ognisk położywszy, w cichości brzasku oczekiwali, leżąc na ziemi i stojąc gromadkami. Śliwka nie wyjawiał im całkowicie, po co i na co wezwani zostali, lecz domyślni włościanie, którym siekiery zabierać kazano, wiedząc, że ich ze wszystkich wsi pędzono, dorozumieli się łatwo, że idzie o wyrządzenie szkody Sierhinowi. A że między nimi a ludźmi Strukezaszycy, tak jak między panami, nienawiść trwała odwieczna, cieszyli się pomstą sędziego i własną.

Znajdowali, że pan ich raz przecie rozum miał, całą siłą chcąc na Sierhin uderzyć i rozumu go nauczyć.

Nadedniem zaczęły się ściągać dalsze gromady, i Śliwka konno z Brackim nadjechali, wiodąc kufę wódki, którą wielka powitała radość. Ranek był chłodny.

Starszyna wnet obstał ekonom, spodziewając się teraz od niego coś stanowczego dowiedzieć. Strzelcy też z leśniczym na czele, w borsuczych torbach i lisich czapkach, osobną stanowili gromadkę, zebrawszy się codojednego.

Śliwka, siedząc na koniu, zebrał około siebie dziesiętników; podano czarękę do wódki. Ekonom dla orzeźwienia się, przepił pierwszy, otarł wasy i odezwał się do ucieszonego tłumu:

— Dosyć nasz pan cierpiał od Sierhina; przyszła godzina, żeby oddać za swoje. Niechaj dyferencya padnie! taka wola pańska. Co najpiękniejszego sosny—w pień!

Szmer ze śmiechami pomieszany rozszedł się po gromadach.

— Pijcie z kolei, póki stanie, a żywo—dodał Śliwka, potem na rubież, i na dane hasło, na całej linii w siekiery.

Zjedzą Sierhinie kaduka, żeby się nam obronić mogli; a zechcą napadać, od tego są strzelcy, którzy staną w assekuracyi.

Strzelców więc z leśniczym poczęstowano najpierwej, komenderując, aby natychmiast na granicy stanowiska zajęli. Z ochotą nadzwyczajną, gorąco, można powiedzieć, spieszyło wszystko naprzód do półkwaterek, potem w las.

Sliwka jako główny-komenderujący, zalecał cichość, porządek i subordynację. W każdej gromadzie mianował półkowodzców. Szło wszystko jak z płatką.

Dzień się zaczynał robić, gdy szeregi zbrojnych w siekiery zajęły miejsce na rubieży.

Jak gdyby słońce ciekawe też było się przypatrzyć temu osobliwemu widowisku, nadedniem mgła osiadała zaczęła, i zza oparów jesiennych blada tarcza ukazała się z sinawych zasłon nocy.

Czemeryński spał czy nie, wiedzieć trudno, lecz równo ze dniem się zerwał na nogi i, niemogąc wytrzymać, począł się ubierać, chodząc niespokojny od okna do okna.

Od Sliwki raportu nie miał i spodziewać się go nawet nie mógł, a ciekawość go piekła. Byłby może sam wyruszył na teatr wojny, gdyby mu Aro-na przestroga nie przechodziła na pamięć, że Strukezaszyc gotów strzelać. Narażać się na jego kulę nie miał najmniejszej ochoty. Ranek wydał się sędziemu jak wiek długim; mszy świętej księdza ex-definitora doczekać się nie mógł, a chciał jej tego dnia, na intencję „pomsty nad grzesznymi“ wysłuchać.

We dworze, z powodu, że i wielu dworskich potajemnie się na ochotnika wybrało z ekonomem, cichuteńko było. W kapliczce znalazła się kupka niewielka. Sędzia modlił się, klęcząc; był najmocniej przekonany, iż Bóg powinien mu być dopomóż do tak chwalebnych dzieł.

Gdy słońce się nad horyzont podniosło i dzień zaświecił wesóło a pogodny, Czemeryński wziął to za dobry prognostyk.

Napiwszy się kawy, w pokoju wytrzymać już nie mógł. Korciło go, na podwórzu posłuchać czy choć daleki odgłos dzieła sprawiedliwości go nie dojdzie. Obrachował nawet, iż tak niewielka przestrzeń dzieliła go od lasu, taka cisza panowała w okolicy, że pięćset siekier koniecznie tu słyszane być musiały.

Właśnie ksiądz ex-definitor wyszedł był po śniadaniu w dziedziniec i zobaczył sędziego czatującego i przysłuchującego się; ku niemu też pośpieszył.

Miał zagadać, gdy Czemeryński nastawiający ucha, dał mu znać, ażeby zmilczał.

Ksiądz nie mógł zrozumieć o co chodziło.

Wtem wśród głuchego milczenia godziny porannej, zdala, z głębin lasu, dał się słyszeć łoskot stłumiony, dziwny, ogromny jakiś, straszliwy, który księdza ex-definitora przeraził.

Tysiące uderzeń jedne po drugich roznosiły echa. Pierwsze z nich były nieśmiałe i słabe; ale wkrótce podniosła się liczba, przyspieszyły razy, las rozbzmiał niezrozumiałym hukiem, jakby puszczę jakaś siła niewidzialna szturmowała.

Ksiądz przeżegnał się, zbłądł, ręce złożył i spytał słabym głosem:

— Co to jest, panie sędzio? Co to jest?

Czemeryński tryumfując się uśmiechał:

— A słuchaj-no, acan dobrodziej, — zawołał — czy może być na świecie przyjemniejsza muzyka nad tę! Ha! ha (pieś podniósł w stronę lasów). Niech mnie na szerepetka! niech zna!

— Ale cóż to jest? na miłosierdzie Pańskie! co to jest, p. sędzio?

— Nie! zabaweczka niewinna! Śmiał się Czemeryński. On mnie traduje, a ja mu las wycinam! Kwita, byka za indyka!

Słyszysz, księżuniu, ośmset, może tysiąc siekier pada na pnie odwieczne! Zaczekaj chwilę, posłyszemy jak sosny runą!

Ale tu to nie! Od Sierhina bliżej, tam to będzie przyjemnie słuchać i patrzeć, niemogąc nie począć.

Posunie się kto, stoją moi strzelcy w odwodzie, ze strzelbami ponabijanymi i mają rozkaz — w łeb!

Dominikanin oczy zakrył ze strachu.

W dali huk ów głuchy coraz rosnął, wzmagał się, olbrzymiał. Niemożna już w nim było rozemnać cięcia siekier, ani padania drzew, ale szumiało ciągle, nieustannie, coraz potężniej, a Czemeryński się uśmiechał.

— A co? księżuniu? he? — odezwał się — czyje na wierzchu?

Zje się kochany Strukezaszyc, pęknie ze złości! Dobrze mu tak! niech nie zaczepia mocniejszego! Pal go dyabli!

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 30 Kwietnia 1878 r.

Wigilia otwarcia Wystawy Powszechnej. — Teatra francuskie i ich sperandy. — Podróżująca rzesza ciekawych i łapka na nią. — Przegląd teatralny z ostatnich czasów. Sardou i jego *Mieszczanie z Pont-Arcy*. — Rozbiór tej sztuki. — Józef Balsamo Alexandra Dumasa i *Les Misérables* Wiktora Hugo. — Pobieżny rzut oka na oba te dramaty, ułożone przez synów tych znakomitych pisarzy. — Teatr Francuski. — Nowy dramat E. Augiera pod tyt.: *Fourchambault*. — Rozbiór tej sztuki, kilka uwag o tendencji i zaletach pisarza i sztuki. — Hektor Berlioz i jego pamiętniki pośmiertne.

Do obecnego listu odłożyłem pogadankę specjalną, poświęconą dramatycznym utworom z ostatnich czasów. W wigilię otwarcia Wystawy Powszechnej Paryzkiej, i jakby już na progu tej Wystawy, którą niezbędnie wasz korespondent będzie musiał się zająć, dobrze jest pokończyć dawne, stare rachunki, aby mieć czyste i niezajęte kartki dla zapisania szczegółów o tem widowisku świata całego.

Aby teatra tutejsze mogły otrzymać wszystkie korzyści, jakich spodziewać się można z tak wielkiego zbiegowiska ludzi, które sprowadzi niechybnie przyszła powszechna wystawa, należało je postawić w tym stanie uroku, *atrakcyi*, jak mówią Amerykanie, któremu by się nie zdołały oprzeć te tłumy przybyszów, ciągnące ze wszystkich stron świata, które, jakby prawdziwa powódź, albo szaraniec, zwała się na Paryż. Dyrektorowie tutejszych teatrów, jak się tego domyślacie zapewne, są to ludzie rozmyślni i przemysłni. Najprzód więc każdy z nich ułożył sobie plan kompanii. Jedni przygotowane *nowalie*, trzymają w sekrecie i ukryciu, aby je puścić w świat reklamy w sam czas, to jest kiedy już tu wszystko jak w kotle zawrze. Inni, a ci, przemysłniejsi mojem zdaniem, otrzymawszy nowe sztuki od autorów największej wziętości, oddali je najprzód na pastwę miejscowym Paryżanom, a niezaufali pieniędzy i wpływów, tyle wokoło nich narobił hałasu, że, jak muchy na lep, tak cudzoziemcy rzucą się na te sztuki z zamkniętymi oczami. Któż już dziś nie słyszał i nie wie tam, dokąd dochodzą dzienniki francuskie — o sztuce Sardou: *Mieszczanie z Pont-Arcy*, o *Nedzarzach* (*Misérables*) W. Hugo, o *Józefie Balsamo Dumasa* i o *Fourchambault* E. Augiera? Kto nie słyszał i kto nie pragnie widzieć ich na własne swe oczy?

Powiedzmy więc z kolei i po starszeństwie czasu o każdej z tych sztuk słów kilka; będzie to pewien rodzaj zaspokojenia, *satisfecit*, dla tych, którym „okrutne losy“ nie pozwolą podróży na Wystawę Paryzką, i wskazówką podróżną dla szczęśliwców, którzy mogą sobie pozwolić przyjemności dostania się do raju — bo ta straszliwa, nowożytna Babilonia, tak się maluje wyobraźni tych, którzy zdaleka patrzą na Paryż, tonący w tej mgłę przejrzystej, tęczowej barwy, jakby w złocistym pyłe, którym się pokrywa słońce przy letnim zachodzie, a który puszczają nam w oczy kuglarze francuskich dzienników.

W nowej komedii Wiktoryna Sardou: *Les Bourgeois de Pont-Arcy* tyle jest rzeczy, tyle węzłów i węzłków intrygi, tyle osób wchodzących, że ułożyć z tego wszystkiego prostą, ale jasną, treść dla moich czytelników — niełatwym jest zadaniem. Jeden z arystokratów Pont-Arcy, poważny, zamożny, żonaty, mający dorosłego syna na ożenieniu, ma gdzieś w Paryżu grzech wielki, ukryty pod firmą handlową, a mający dość harmonijne nazwisko, Marcelli Aubry... Poznali się w domu, gdzie panna Aubry dawała leky na fortepianie; przyszło do tego, że trzeba było coś postanowić i stary mieszczanin z Pont-Arcy ułokował młodą matkę i młodego synka w magazynie mód, nabytym na ten cel za sumę, której ostatnia rata niezapłaconą jest

jeszcze. Nagle ów pan arystokrata z Pont-Arcy umiera w Paryżu.

Oto jest pierwszy węzeł; ale, jak zobaczymy, nie od tego się wcale zaczyna sztuka. P. Sardou, jak to jest jego zwyczajem, i jak sam się do tego przyznał w poufalej rozmowie, rozdziela zmysłu każdą swą sztukę na dwie połowy: na wstęp poświęcony zwykle fajerwerkowi dowcipu, i na część dramatyczną, gdzie czasem do łez wzrusza. W tej nowej komedii akcja dramatyczna zaczyna się również w trzecim dopiero akcie, dwa pierwsze służą za wstęp tylko. W tych dwóch pierwszych aktach jesteśmy w Pont-Arcy, małym miasteczku na prowincyi. Pan Sardou pokazuje nam w nich cały świat, wielki i mały, miasteczka. Na górze mieszka przeszłość, to jest arystokracja miejscowa, na dole przyszłość, to jest klasa wyrobnicza, we środku teraźniejszość, albo nowe miasto, mieszczaństwo zamożne i kupecy.

W chwili, gdy się rozpoczyna komedia, w Pont-Arcy panuje przeważnie mieszczaństwo, w osobie wójta, jak go tu nazywają mera, pana Trabuta i jego pięknej małżonki... mieszczaństwo to jest w gwałtownem poruszeniu z powodu zapowiedzianego małżeństwa barona Fabrycego de Saint-André z kuzynką panną Berengera des Ormoises. Pożądana panna, wnosząc wielką fortunę do domu małżonka, funduje w ten sposób, jakby nowe siedlisko, dom otwarty, przyjemny, arystokratyczny, a więc niebezpieczny jako konkurencja towarzyska dla Trabutów, to jest dla całej mieszczańskiej koteryi. Zawiązuje się więc pewien rodzaj konspiracyi mieszczańskiej pod dowództwem pięknej pani Trabutowej, mającej na celu, jeżeli nie zerwanie małżeństwa Fabrycego i Berengery, to przynajmniej zmuszenie małżonków do szukania innego siedliska i innego pola popisu. Chodzi tylko o znalezienie do tego powodu. Powód znajduje się jak na zawołanie.

W chwili, kiedy całe miasteczko jest w przygotowaniu do ważnego obchodu: odpustu, rolniczej wystawy, muzycznego konkursu, kawalkaty historycznej i odsłonięcia posagu wiekiego a nieznanego człowieka, młoda jakaś kobieta przybywa z Paryża zajeżdża do wielkiego hotelu w Pont-Arcy, zapisuje się pod nazwiskiem Marcelli Aubry, kupcowej, i żąda widzenia się z baronem Fabrycem de Saint-André. Skoro wieść o tem gruchnęła w miasteczku, tysiące szpiegów wyrusza w pole na odkrycie skromnej tajemnicy. Zaraz z kalendarza dowiadują się, że tego nazwiska osoba trzyma w Paryżu magazyn mód przy ulicy Caumartin. A więc jest to intryga miłosna; opuszczona od pana barona, przybywa niechybnie domagać się praw swoich, a przynajmniej wydrzeć jaki gruby datek z rąk przeniewiercy; a kiedy Fabrycy dając odpowiedź, zaprasza przybyłą na rozmowę do domu własnej swej matki, skandal jest w całym rozwoju i nie brakuje szpiegów do sprawdzenia faktu.

Na tem schodzą dwa pierwsze akty; zapełnia je całkiem pewien rodzaj studium nad życiem małego miasteczka. Ludzie wychodzą tam na scenę ze swymi słabościami, przywarami, śmiesznością. Jedni utrzymują, że to studium jest pełne rzeczy ciekawych, zabawnych i schwyconych z niezmiernym talentem; drudzy powiadają, że pan Sardou, tak biegły zwykle w tem zewnętrznym przystrojaniu swoich komedij w dowcipne słówka i w subtelne spostrzeżenia słabostek ludzkich, tutaj okazał się mniej szczęśliwym. Obraz ten życia prowincjonalnego grzeszy właśnie niedostatkami oryginalności i prawdy; jest to jakby owa tradycyjna prowincya, którą wyprowadzili ongi na scenę Balzac, Stendhal i t. d., a którą ilustrują i dotąd karykatury w *Journal amusant*. Zgadnam się i ja z tym ostatnim sądem; ale dla tych, co nie znają dzisiejszej prowincyi francuskiej, zostanie, choć powierzchowne, to jednak zabawne malowidło tych obrazków, które Sardou dobrze zapełnił dwa pierwsze i część trzeciego aktu swej sztuki; zostanie powód uśmiania się do rozpuku, przy tem epizodycznym opowiadaniu historyi *Celesty* i *du petit tourment* (nie wiem jak to wytłómaczyć) naszkicowanem mistrzowską ręką.

Z początkiem trzeciego aktu wchodzimy prawdziwie w dziedzinę samego dramatu, a chociaż przedmiot, jakkolwiek zręcznie osnuty, nie jest ani dość prawdziwym, ani możebnym, po ludzku mówiąc, —

sztuka przecież zajmuje widza, albowiem wyszła widocznie spod pióra biegłego i zręcznego dramaturga. W trzecim akcie nakoniec Fabrycy i Marcella znajdują się wobec siebie. Pod wpływem strasnej konieczności panna Aubry zmuszona jest udać się do Fabrycego, którego nie zna wcale, i odkryć mu tajemnicę własną i jego ojca, o której wspomnieliśmy na początku. Fabrycy, który podejrzewa zrazu podstęp i kłamstwo, zmuszony jest uznać sprawiedliwość i prawdę wobec własnoręcznych listów ojca. Rzecz chodzi głównie o zapłacenie ostatniej raty nabytego zakładu, a wydany skrypt przez ojca Fabrycego znajduje się w ręku ustępcy tego zakładu i niezapłacony przesłany zostanie urzędownie do rąk wdowy, to jest matki Fabrycego, niewiedzącej dotąd o niczem. Fabrycy więc daje pieniądze pannie Aubry i wyprowadza ją z domu przez drzwi uboczne. Ale tu nastawione szpiegi mieszczańskie zatrzymują pannę Aubry, rewidują jej podróżny worek, znajdują grubą sumę pieniędzy, posyłają po wójta. Robi się więc zamieszanie, zbiegowisko z całego prawie miasteczka, i Fabrycy, aby wyrwać tę biedną ofiarę z rąk oprawców, zmuszony jest wdać się w całą sprawę. Tego też właśnie pragnęli mieszcianie. Skandal się spełnił i powód do zakłócenia spokojnie przygotowanego małżeństwa znalazł się sam przez się. Na zakończenie tej sceny przybywa pani de Saint-André, matka z narzeczoną Fabrycego! Matka wobec publicznego skandalu wymaga od syna, aby wytłómaczył się stanowczo, a ten nieśmiało i niemogąc wobec matki oskarżyć ojca, schyla głowę i całą winę przyjmuje na siebie. Przyznając się do winy względem Marcelli, Fabrycy zmuszony powiedzieć sobie, iż wszystko dlań skończone, — zerwane małżeństwo, stracony szacunek powszechny tryumfują Trabutowie!

Cały akt 4-ty zapełniają sceny, które, odegrane z niezmiernym talentem przez aktorów Wodewilu, a szczególnie przez aktorki, stały się powodem tych pochwał, jakimi okryto autora. Matka Fabrycego, wzruszona do głębi tą jedną myślą, że biedne niewinne stworzenie, dziecko tego występnego związku jest dzieckiem jej syna, rozpląta się w miłości ku biednej sierocie i uważając małżeństwo Fabrycego z kuzynką za ostatecznie zerwane, wymaga od niego, aby naprawił swoje przestępstwo, posłubując Marcellę i oddając jej wnuka. Wysłany do Paryża, pan Brochat, brat pani de Saint-André, przywozi najlepsze świadectwo o zacności i godności panny Aubry, razem z fotografią chłopczyka, w którym rozczulona matka poznaje rysy własnego syna i silniej nalega jeszcze, aby posłubił uwiedzioną. Opór Fabrycego powiększa jeszcze zapal starej matki. Nakoniec w patetycznej bardzo scenie pomiędzy synem, matką i narzeczoną, kończy się akt czwarty, wyznaniem zupełnej wiary w niewinność Fabrycego ze strony ukochanej i zakochanej kuzynki.

Akt piąty jest najsłabszym. Tak-to jest widoczna rzeczą, że w wymyślonej, jakkolwiek mądrze, przygodzie, koniec jest najtrudniejszym dziełem. Otóż aby skończyć, brat pani de Saint-André odkrywa jej nakoniec wielką tajemnicę, o której publiczność wie już od początku sztuki, a ta, zmuszona uznać całą prawdę, kończy komedję temi słowy: „A więc to nie Fabrycy? to był jego ojciec!.. przebaczam mu za to, iż mi dał takiego syna“.

Taki tu jest układ i takie rozwiązanie komedii... Spryt, dowcip, błyszczące zalety stylu, doskonała gra aktorów — zacierają w pierwszej chwili przy pierwszym widzeniu wszystkie wady, wszystkie usterki tej sztuki. Ale potrzeba przestać na pierwszym wrażeniu, bo inaczej gruba rudowina osnowy pochłonie wszystkie zewnętrzne i jakby przyklepione ozdoby. A główna myśl sztuki wydaje się mi tak przechwyconą, tak naciągniętą, szczególnie w tu-tejszej społeczności, iż uważam samą sztukę za jedną z najsłabszych Sardou. Poświęcenie, jakie czyni ten syn, aby pamięć ojcowska została niepokalaną nazawsze w sercu matki, jakby świętość jaka w relikwiarzu i to z takiego powodu — jest to po prostu rzecz niepodobna, nienaturalna, a nawet rażąca czystą moralnością. Skutek więc, jaki wywiera ta sztuka, jest wręcz przeciwny celowi autora. Zmyslenie w poezji, zmyslenie zamknięte we własnej swej sferze, to jest w sferze uczucia i ducha, może nas zachwycić i pociągnąć za sobą

w „rajską krainę ułudy“, ale zmyslenie użyte jako czynnik, mające zastąpić rzeczywistość życia i wydać moralny owoc dla umysłu naszego, jest największym błędem. Moralność jest to prawda, wynikająca z rzeczywistości — złudzenie jest kłamstwem. Nic więc tu niema wspólnego.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Po śmierci cioci. — Komedya w 3 aktach, M. Bałuckiego; przedstawiona d. 30 Kwietnia 1878 r.

Dziwnie przykrego uczucia doznawała publiczność, na przedstawieniu wymienionej powyżej komedii M. Bałuckiego. Przyszła bowiem z niekłamną chęcią pośmiania się szczerze, tak jak to uczyniła na „Teatrze amatorskim“ niedawno, a jak szczerzej jeszcze, na „Radcach pana radcy“, które pozostaną typowymi w rodzaju twórczości tegoż autora. Tymczasem śmiać się nie było z czego, nawet sarkastycznie, bo sarkazm zastąpiła tu trywialność i przesada — a gromy oburzenia, które najniezrętniej wycelował autor na bohatera swego, fałszywego poetę i człowieka, śpaścyby musiały chyba na całkiem kogo innego.

Niewiadomo też właściwie, czy to ma być komedya czy farsa, czy coś pośredniczącego między tem, tak samo dla tej przyczyny, że charakterystyczne (z wyjątkiem jednej Sabiny) graniczą z karykaturą, a mimo to, obracają się niby w sferze stosunków najcodzienniejszych i najrzeczywistszych.

Bo przedmiotem tu, jak prawie we wszystkich utworach Bałuckiego — walka o żonę naturalnie z posagiem, gdy w innych walka toczyła się o męża, także dobrze uposażonego. Przedmiot zatem nielitościwie wyzyskiwany, przez wszystkich autorów, a co gorzej przez samego Bałuckiego — jednak przy bujniejszych cokolwiek i świeższych pomysłach, jeszczeby i tu zapewne wyszukać się dało stronę oryginalniejszą lub przynajmniej z siłą komiczną przedstawioną. Ale niestety — pomysł stary wyszył autor na starej kanwie i zużyty włóczką. Ta tylko różnica, że kiedy dawniej polującymi bywali zwykli śmiertelnicy, tym razem jest znów, według p. Bałuckiego niezwykle śmiertelnik, czyli człek nieśmiertelny, czyli literat — poeta, imieniem Juliusz.

A z jednego zdziwienia, przejść musimy w drugie i daleko większe, właśnie z przyczyny wyboru bohaterów w sztukach Bałuckiego.

W dawniejszych bowiem — ale co — wcale nie w dawnych, bo w „Teatrze amatorskim“ uosobioną enotą, dystynkcyą i rozumem, jest także literat, — w „Polowaniu na męża“, w „Emancypowanych“, i innych, wszędzie literat stapa na koturnach, mówi, jakby czytał namaszczonego swój artykuł; słowem, choć był bardzo nienaturalny i wielce nudny, ujawniał wszakże pewną ulubioną dążność autora, upatrującą w tym stanie przedewszystkiem, ludzi lepszych i szlachetniejszych od ich otoczenia.

Teraz wręcz przeciwnie. Teraz ten Juliusz, to łotr wytrawny, oszust grający na uczuciach jak na ograny szpinecie, deptający nogami przyjaźń, miłość, słowem wszelkie uczucia obywatelskie i człowieczeńskie. Że przytem posługuje się szafunkiem ideałów dla pokrycia najniższych celów, że niemi szasta jak szuler fałszywymi kartami, że go z tej strony autor umyślnie w najjaskrawszem stawia świetle, wysnuwając ztąd teorię nową, może będącą na dobie, jako wszyscy tak zwani idealisci, a specyjalnie wszyscy poeci, są fałszerzami uczuć i przekonań, są szalbierzami drwiącymi ze swego społeczeństwa — to nowy zwrot w poglądach i pojęciach p. Bałuckiego. Zwrot ten wprowadzie tak nagły — w chronologicznem następstwie jego utworów nadzwyczaj nagły — nie da się niczem wyjaśnić, bo i p. Bałucki pisał i pisze poezye, chyba że się ich sam dziś wypiera i na nie kłutwę rzuca. To jemu wolno — ale co do nas, chcielibyśmy go raz objaśnić w bardzo prostej rzeczy, a mianowicie w kwestyi podciągania grzechów jakiegoś wyjąt-

kowego indywiduum pod cechy ogólne całego stanu a właściwie zawodu. Że się Juliusz taki zdarzyć może w rzeczywistości, zaprzeczać nikt nie myśli, ale w takim razie nie należy o to obwiniać całej klasy poetów i literatów, bo przecie i w adwokackim i bankierskim i w każdym stanie, zanadto jest szubrawcy, a przecież nikomu na myśl nie przychodzi formułować oskarżenia w ten sposób: jako wszyscy adwokaci lub bankierzy, lub tacy i owacy, są szubrawcami.

Przytem — sądząc z dzieł samego p. Bałuckiego, odskok tak potężny od literata jako typu ideału, do literata, jako typu egoisty i szalbierza, zanadto jest rażącym, ażeby, conajmniej, nie godziło się zarzucić autorowi niepewności w poglądach na świat i ludzi, a więc i w koncepcjach twórczych.

Bo wreszcie, choćby nam nie a nie nie zależało na stronie moralnej i społecznej w obiorze takiego indywiduum jako typu ogólnego, to ze stanowiska samej prawdy w sztuce, zaprotestować musi każdy człek obdarzony prostym rozsądkiem. Czyż na przykład, dlatego że Juliusz pisze liche i emfaticzne wiersze na wszystkie strony, to jest do wszystkich panien z posagiem, że porzuca jedną dlatego że uboga a idzie do drugiej dlatego, że bogata, wypada palić zaraz długie tyrady i krótkie ale niesmaczne przycinki, do całego plemienia literatów i poetów, ich wszystkich oskarżając o komedya niską i czelną, o interesowność, o posługiwanie się ideami dla przeprowadzenia swych prywatnych celów? Czy autor chce koniecznie wmówić wszystkim, że taki literat, to typ ogólny i znany? Chyba tego, sądząc z wrażeń słuchaczy, w nikogo wmówić nie zdołał. Pani Mellerowa w „Fałszywych blaskach“ poruszyła ten sam przedmiot, ale traktowała go szlachetniej, prawdziwiej i nie jako typ ogólny, ale jako mogący się wydarzyć. Tam wreszcie chodziło jej nie o pieniądze, ale o przesadę w uczuciach i poglądach na rzeczywiste życie, o brak prostoty a więc i szlachetności przeciwiowej u tych, którzy wobec świata *pozują* na ludzi wyższych.

Jest w tem ogromna różnica, której tak rutynowany autor jak Bałucki, choćby z jednego względu na prawdę jako regułę sztuki, zapomnieć nie był powinien.

Przytem jak dalece ten Juliusz został źle pojętym i wykonanym, dowodzi monolog, w którym sam przed sobą dalej odgrywa komedya udawania i fałszu — i kiedy jużśmy chcieli uwierzyć, że to tylko chorobliwy, ale w dobrej wierze gatunek literata-blagiera, wyprowadza nas znowu autor z błędu ową sceną, gdy klęcząc przed Sabiną i widząc się ocenionym jak należy, wypowiada na stronie słowa, dające dowód, że to łotr z *premedytacją*.

Nie chcemy tu mówić o Adamie, — manekinie, bez znaczenia, ani o Jadwidze, panience naiwnej, wyrobionej według znanej recepty, znanej zwłaszcza z repertoaru sztuk p. Bałuckiego. Obie te figury, służą tylko jako podrzędne spreżynki do powiedzenia tych słów lub owych, bez żadnego znaczenia charakterowego, — ale p. Poczeński, ojciec Jadwigi?

Jako robota i do tego komiczna, jest on wcale niezły — często bardzo rozbawia, ma przytem najwięcej jednolitości i konsekwencji, lecz ponieważ ma to być komedya, a nie melodramat lub tragedia, zatem trudno uwierzyć w taką brutalną obojętność dla posażnej córki, w taki brak wszelakiego nie już przywiązania, ale choćby przyzwyczajenia do jedynaczki. Nie chce jej zrazu wydać za Juliusza dlatego, że on ubogi; gdy się dowiaduje od niej, że on majątku nie pragnie, oddaje mu ją czemprędzej, gdy potem córka zaśląbła, on zabiera się do oświadczeń miłosnych Sabinie, aż ta przypomniać mu musi obowiązki najprostsze ojca. A to ciągłe zapewnianie swej jedynaczki, że wszystko robi tylko dla jej dobra i szczęścia, gdy on właśnie wszystko robi, co tylko można, aby ją unieszczęśliwił!..

W tym egoizmie i tej hypokryzji ojca — lubo zdarzają się gorsi od niego w życiu — niema nie, coby usprawiedliwiała ich potrzebę, niema tej wysokiej konieczności ojca w kłopotach codo swych córek, jaką ma na przykład ojciec w „Posażnej jedynaczce“ Fredry. Tam nas nie razi jego ryczałtowy sposób łapania zięciów, bo czyni on to z konieczności, nie czyniąc krzywdy córkom, owszem w przekonaniu, że dla ich dobra działa przedewszystkiem.

Mimo to i wobec innych, figura ta przypomina najbardziej dawną werwę Bałuckiego i talent w kreśleniu zgruba, ale dosadnie, postaci z mało-mieszcząńskiego świata.

Sabina, która tu jest kierowniczką całej intrygi, która karci występki a cnotę wynagradza, Juliusza zawstydza, Poczeiwskiego upokarza, słowem spełnia tysiące czynów rzadkich i cnotliwych, ale powtarzających się w okropny sposób, nie może rościć prawa do naturalności i prawdy życiowej, a jeżeli ma ona być antidotum frazeologii Juliusza, to przysłużyć się musi, że antidotum, w nuzaniem i nudnem deklamatorstwie, przewyższa frazeologię.

Z tego już pozna czytelnik — przed którym chcielibyśmy osłonić mierność nowego utworu Bałuckiego, — że i robota sceniczna, czyli to, co się zwie: maszyneryą sztuki, ogarniając treść tak nieznaczną, okazała się niedostateczną i ciężką. Ciągłe wchodzenie i wychodzenie bez przyczyny, ciągłe zagładanie Juliusza do bocznego pokoju, ażeby raz po raz pisać listy, — przesuwanie figur raz na prawo, drugi raz na lewo, czego dopełnia Sabina z tak zimną krwią, jakgdyby rozdzielała hufce zbrojne na prawo i na lewo, — schadzki Juliusza z Adamem, bądźco bądź w obcym domu: wszystko to — nieusprawiedliwione wewnętrzną treścią sztuki ani jej akcją.

Czyż warto rozwodzić się nad treścią — czyż jej wreszcie nie odgadł już czytelnik?

Juliusz udawał niegdyś, że kocha Sabinę — odsunął się od niej, dowiedziawszy się, że jest ubogą, a przysunął się do córki p. Poczeiwskiego, sądząc, że ma posag, odzierając przez to ze szczęścia przyjaciela swego Adama; gdy się dowiaduje, że Sabina „po śmierci cioci“ odziedziczyła 250,000 fl., wraca do niej w sposób najpodlejszy i najgłupszy, taki, jakiego by się najwykleszy powstydzili prostak. Na tak grubą obłudę, na tak ordynarny pełzanie, nie złapałaby się chyba nawet taka gaska, jak Jadwiga, jak wogóle wszystkie gaski, udające niewiastka w repertuarze sztuk Bałuckiego.

Nie chcemy się już rozszerzać nad wstrętnym sposobem, w jaki Juliusz udaje sierotę, opowiadając przed paniami swego serca, że stracił rodziców, że jest sam jak palec, gdy oni żyją i cieszą się zdrowiem; szczegół ten dodaje tylko ohydy jego charakterowi, jeżeli to charakterem nazwać można, a ani krzty komiczności.

Prawdziwie, mimowoli raz jeszcze zadziwić się trzeba nad predylekcyą autora do posadzania literatów o łapanie posagów. Nie myślimy stawiać niepotrzebnie w ich obronie, ale ten jakiś specjalny upór pana Bałuckiego w dopatrywaniu cheiwości i interesowności u ludzi, który ostatecznie całe życie najskromniej żyć się zmuszeni, a często w dotkliwej konieczności potrzebie, często i w szpitalu — przeszłego i tego roku, mieliśmy dwa świeże przykłady — jest chyba dowodem giętkości, z jaką pan Bałucki ulega chwilowym, wprost przeciwnym prądom.

Dowody tej giętkości, dał już w kilku swoich powieściach, gdy chcąc na sposób ultra-realistyczny stworzyć coś nowego, porzucił dawną swą manierę.

Na tem on sam wyszedł najgorzej, a nie lepiej czytelnicy.

Jest to arcynaturalne, gdyż realizm takiego np. Zoli wymaga przede wszystkim olbrzymiego talentu, jaki Zola rzeczywiście posiada — wszelkie zaś jego naśladownictwo razi i odpycha, niemając za sobą usprawiedliwienia wielkiego talentu i wielkiej szczerości.

Kończąc z tym niefortunnym płodem najnowszym Bałuckiego, chcemy nie tracić naszej wiary w jego talent rzeczywisty i w możliwość szybkiego zrehabilitowania się. Nie pisze się zawsze rzeczy znakomitych, ani nawet bezwzględnie dobrych — *nonnunquam bonus dormitat Homerus* — ale nie pisze się też rzeczy wręcz przeciwnych przekonaniom dotychczasowego całego życia, a — dodajmy wprost, wstrętnych; — jeżeli się zaś od ich pisania powstrzymać nie można, to się ich nie wystawia — przynajmniej na scenie warszawskiej.

Codo gry artystów, powiedzmy krótko, że robili co mogli, że grali wcale dobrze. I pani Borkowska (Sabina) i pani Szymanowska (Jadwi-

ga) i pan Grubiński (Juliusz). Wszyscy chcieli wmówić w publiczność, że mówią prawdę i czują prawdziwie, ale publiczność uwierzyć nie chciała w żaden sposób. A pan Rapacki jako Poczeiwski, wyborną grą, znakomitem obmyśleniem szczegółów, chciał koniecznie wygluzować z pamięci widzów, pana Radę i tylu innych tych samych typów z komedii Bałuckiego. O ile talent jego wystarczył, udało mu się to w zupełności; nie mógł jednak zupełnie pominąć ciągłego „panie“ i „tego“, których Bałucki w żadnej ze swych komedji nie zapomina.

E. Lubowski.

Z DZIAŁU PRZYRODY

przez

Prof. Dr. Karola Jurkiewicza.

Zużytkowanie szwajcarskich lodowników. — Towarzystwo Grindelwaldzkie i eksploatacja lodu. — Handel tym produktem. — Stół zastawiony przez przyrodę dla jej stworzeń. — Współbiedniacy i pasożyty. — Człowiek-żywiciel krwią własną. — Zwierzęta chlebobodawcy. — Dzieje żywota tasiełców. — Mięso węgrowate i jego skutki. — Kołowaczna owcza. — Skutki racjonalnej higieny w Szwajcaryi. Choroba miejscowa w Islandyi i Abissynii. — Trychiny. — Pasożytnictwo jako odwieczne prawo harmonii świata.

Ogledni i zabiegliwi mieszkańcy Szwajcaryi, wynaleźli nowe źródło dochodów. Przez całe wieki spoglądając na lodniki piętrzące się na rodzinnych gór szczytach, wpadli dziś nagle na dobrą myśl, że nieprzebrane te masy lodu na coś więcej jeszcze przydać się mogą, niż na majestatyczną ozdobę górskich krajobrazów. W istocie, lód jest obecnie wielce pożądanym, a nawet często niezbędnym materiałem w wielu potrzebach domowego i fabrycznego bytu, a jednakże wiele mamy krajów, które sztucznym głównie lodem posługiwać się muszą. Otóż Szwajcaryja aż nazbyt go posiada. Gdyby nawet świat cały zaopatrywać weń chciała, to jeszcze dosyć go pozostanie ku zachwytowi cudzoziemskich turystów.

Niedawno więc zawiązała się w Interlaken spółka pod nazwą: *Grindelwaldzkiego towarzystwa wywozu lodu*. Nie potrzebuje ono towaru swego szukać daleko, ani w głębinach ziemi, ma go bowiem w około siebie na powierzchni podostatkiem.

Trwożliwe a cheiwe alpejskich wrażeń umysły, dowiedziawszy się o tem przedsięwzięciu, mocno się zasmuciły z obawy, czy z czasem nie zniknie jeden z potężnych uruków alpejskiej przyrody, przynajmniej w Grindelwaldzie, rozprzedany i wywieziony przez cheiwego na grosz krajowca. Zapewne, mogłoby to nastąpić, gdyby w przyszłości nastał długi szereg zim tak łagodnych, jak naprzykład tegoroczna, a owemu Towarzystwu wypadło grindelwaldzkim wyłącznie lodem zaopatrywać wszystkie kraje przez długie lata. Ale zima podobno nie wyrzeczcie się swych praw odwiecznych; będzie ona skuwała po wszystkie czasy lodowemi pętami rzeki, jeziora i stawy w strefach umiarkowanych; a wreszcie oprócz Grindelwaldu setne jeszcze i potężniejsze istnieją w Alpach wiekiste rodzime lodownie.

Przedsięwzięcie owo z początku na dosyć poważne natrącało trudności, a przede wszystkim, sprowadzenie lodu z lodnika na bitą drogę, niemałe przedstawiało zadanie. Ale od ubiegłego miesiąca Września, zaradzono mu skutecznie przez urządzenie drogi na walcach, która wprowadzi 30,000 franków kosztowała, ale doskonale przeznaczeniu swemu odpowiada. Niższa część tej kolei, długości 1,800 metrów (blisko dwóch wiorst), wznosi się łagodnie ku lodownikowi, z pochyłością od trzech do pięciu na sto, następnie po wielkiej krzywiźnie wspina się stromo ze spadkiem 45 do 50 na sto, a przy samym już lodniku znowu prawie poziomą się staje. Podwójna linia druciana, opasująca dwa olbrzymie wały, podtrzymuje wózki. Niema przytem żadnego niebezpieczeństwa, mianowicie dla ludzi, bo naładowane lodem wózki własnym ciężarem zbiegają same z góry bez wóznicy, ciągnąc

współcześnie po drugich szynach próżne wagony do góry.

Na lodowniku, gdzie podczas tegorocznej zimy 60 robotników stale pracowało, lód wyłamuje się w postaci wielkich kostek, po 150 funtów mniej-więcej ważących. Wyłamywanie lodu odbywa się prawidłowo, jak w łomie kamienia. Dziennie otrzymują około 600 brył, które po przewiezieniu do Interlaken tyleż prawie centnarów ważą. Widzimy więc, że przez drogę z Grindelwaldu do Interlaken roztopia się stosunkowo bardzo wiele lodu, bo mniej-więcej trzecia część jego pierwotnej wagi. Z tem wszystkiem, Towarzystwo może sprzedawać na stacyi kolei żelaznej w Interlaken centnar celnij najpiękniejszego lodu po franku 60 centymów, co wynosi niecały grosz nasz za funt, cena, jak widzimy, nader niska. Dziwić się więc nie można, że odbył się ogromny i Towarzystwu z trudnością przychodzi czynić zadość wszystkim zamówieniom. Lód szwajcarski ubiegłego lata znalazł się nawet na placu boju w Bulgaryi, gdzie w szpitalach i ambulansach wielce był pożądanym materiałem.

Dobroczynna przyroda, mając do wyżywienia nieprzeliczone miliardy zwierzęcych jestestw, niezliczone również przygotowywać ustawicznie musi dla nich pokarmy. Pokarmy te wyrabia w obu dwóch swoich królestwach, tak w roślinnem jak i w zwierzęcem; a mnogość i różnorodność ich jest w istocie niesłychana. Od pszczołowego miodu i słodkiego owocu bananu, aż do rozkładającego się zwierzęcego ciała i rozmaitych wstrętnych zwierzęcych i roślinnych szczątków, od mleka ssących do podobnego mu zupełnie soku *krowiego drzewa* (*Galactodendron*); od roślin zbożowych, z których pokarm nasz codzienny wyrabiamy, do gotowego chleba zwieszającego się z gałęzi *drzewa chlebowego*, — tysiączne potrawy zastawione są codziennie na obszernej jak ziemia cała stole biesiadniczym przyrody, do którego wszystko, co żyje, przystęp w każdej chwili ma otwarty.

Więc też całe żyjące stworzenie kwapi się do tego stołu. Jedne zwierzęta rzucają się przeważnie lub wyłącznie na pokarmy roślinne: na liście, kwiaty, owoce, ziarna, korę, na najtwardszą tkankę drzewną, inne zakopują się w łono ziemi, by w niem dobrać się do miękkich i soczystych korzonków, inne znowu przekładają raczej zwierzęce materje: mięso, skórę, futra, wełnę, pierze i t. p. Są i drapieżniki w ostrą i zabójczą broń zaopatrzone, co w ukryciu na żywą zdobycz czyhają, jednym jej dosięgają skokiem, by nasycić się krwawymi i drgającymi jeszcze jej zwłokami. Mamy znowu żarłoków, dla których wszystko jest dobre, co im się pod żab nawinie — więc nasze meble, odzież, obuwie, wszelki produkt ludzkiego przemysłu, zwierzęcego czy roślinnego pochodzenia. Bywają i takie, co mieszkają i pożywienia dla siebie szukają w drzewie naszych domów lub ścian okrętowych, jak *Świdrak* (*Teredo navalis*). Co większa, podczas wojny Krymskiej zauważano karabinowe kule ołowiane przedziurawione na wylot, jak się następnie pokazało, przez niewielki owad błonkoskrzydły (*Urocera juvenis*).

Jest wiele takich jestestw, które za swą siedzibę obierają ciała innych zwierząt, żywią się obok niego przy tym samym, niejako stole, ale od gospodarza swego nie nie żądają, zadawalniając się conajwyżej tem, co mu od jego własnych potrzeb zbywa. Są to poprostu jego *współbiedniacy*. Celem zapewnienia sobie pożywienia, usadawiają się pod skórą lub we wnętrzu swego chlebobodawcy, czasami w jego głębi, niekiedy w żołądku lub kiszce. Tacy współbiedniacy napotykają się we wszystkich zwierzęcych gromadach. Tak pewna mała rybka, o bardzo spłaszczonym ciele, sadowi się w przewodzie pokarmowym *strykwy* (*holoturii*) zwanej jeszcze dla swej postaci *ogórkim morskim* i korzysta z pożywienia, które gospodarz do żołądka swego wprowadza.

Otwierając ostrygę lub jadalnego omułka (*Mytilus*), często w nich znajdujemy małego rączka *strzeżyka*, znanego już Arystotelesowi i nazwanego przezeń *Pinnotheres*. Otóż od niepamiętnych czasów dziwne bajki prawiono o wzajemnym stosunku zwierząt tych do siebie. Utrzymywano naprzykład,

że ów raczek, współmieszkaniec mieczaka w skorupie, spełnia w niej obowiązek niejako stróża, i zjadł polską jego nazwę, a ze śmiercią gospodarza opuszcza jego mieszkanie. Według innych, ślepy, bo niemający oczu omulek, dawał przytułek bystrookiemu raczkowi, aby ten zawiadamiał go o wszystkim, co się w koło nich dzieje. Oczywiście, mniemania podobne żadnej nie wytrzymują krytyki. Strzeżyk jest poprostu współbiedniakiem mieczaka, wyczekującym sposobnej chwili, w której ten ostatni skorupę swą otworzy, by do niej się wśliznąć, a następnie korzystać bez trudu z nadmiaru pożywienia przyjmowanego przez gospodarza.

Inną wszakże odgrywa rolę *paszyt*. Znakomity belgijski zoolog, van Beneden, w ciekawym dziele swoim *O współbiedniakach i paszytach w królestwie zwierząt*, przed trzema laty wydanem, tak określa paszytę: — Jest to jestestwo, powiada, którego zadaniem jest żyć kosztem drugiego żyjącego jestestwa, a całą umiejętność eksploatować je, bez uszczerbku wszakże na zdrowiu. To żebrak, potrzebujący jałmużny, by nie zamrzeć na publicznej drodze, ale pamiętający o tem, że nie zabija się kury dla zyskania jaj. Różni się więc on w istocie swej od współbiedniaka, który jest poprostu współtowarzyszem stołu. Drapieżny zwierzę zabija swą zdobycz, by się nią nasycić; paszyt nie zabija jej; owszem, bierze udział we wszystkich korzyściach, jakimi się cieszy gospodarz, któremu się narzucić zdołał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

— Wydanie *Dzieł Szajnochy*, prowadzone przez pana Adolfa Pawińskiego, przy nakładzie księgarskim p. Ungra w Warszawie, rozpoczęte w r. 1876, ukończone zostało przed miesiącem wraz z wyjściem X tomu (str. 426). Zawiera on od str. 3—171 dokończenie X rozdziału, oraz rozdziały XI i XII *Dwóch lat dziejów naszych* (1646—1648), czyli resztę drugiego tomu tego dzieła. Od str. 173—273 ciągną się źródła, napisy nad rozdziałami i spis rzeczy; poczem na str. 241 zaczyna się życiorys wielkiego dziejopisarza, skreślony piórem, nie p. Pawińskiego, jak zapowiedziane było w prospekcie, ale młodego i pokrewniejszego duchem Szajnosze pracownika, pana Klemensa Kanteckiego. Jestto pierwszy istotny, choć niezupełny jeszcze, życiorys zmarłego przed dziesięciu laty pisarza. Autor nie małom mu pracy i starań poświęcić musiał: czerpał doń fakta ze źródeł bezpośrednich, z listów, z opowiadań osób najbliższych, a w części, w drobnej wprawdzie, i z własnych wspomnień. Obraz życia zmarłego zajmujący 182 stron, takiego samego druku, w jakim złożony jest text dzieł, sprawia wrażenie pracy poważnej a powabnej. Rozpoczyna go autor od trafnego zestawienia Szajnochy z Macaulayem (str. 241—245). Pan Kantecki wyrzekł się zgóry wniosków w naukowo-literacką ocenę działalności i poprzestał na stronie życiorysowej; żałujemy jednak, iż w pracy jego nie widać prawie wcale uwzględnionych praw bibliografii. Sądźmy, że niewadząc się w głębokie dociekania, można było dać w końcu rysu wykaz druków osobnych, artykułów po pismach peryodycznych, zbiorach (przynajmniej główniejszych) i wreszcie pozostałości rękopiśmiennej. Życiorys pisarza bez bibliografii dzieł jego nigdy pełnym być nie może. To, co człowiek napisał, jest częścią składową samego człowieka.

Nieszcześnie mania — bo ta chyba nazwa będzie najwłaściwszą, — nieprzeparcie w mocy swej trzymała ster drukarski wydawnictwa przy wszystkich dziesięciu tomach: poznajemy ją też z jej skutków i przy tomie X. Nadaremne były głosy *Przeglądu krytycznego* i nasze własne: drukowano tom III tak jak dwa pierwsze, a dalszych 7 tak jak trzy początkowe. Systemat kawałkowania, wywołany podobno,

jak nas objaśniono, przez potrzebę zastosowania grubości książki do rozmiarów odładek, naprzód ryczałtem przygotowanych — buja tu kwitnie. Jeżeli T. VIII ciągnął dalej wątek XXI rozdz. *Jadwigi i Jagielly* i zaczynał się od słów: „Wspiera ją (kogo czy co?) owszem (!) jeszcze jedną ważną, prawie rozstrzygającą, okoliczność“, — niemniejszego dźwięku przynosi nam tom X, poczynający się od dalszego ciągu rozdziału X *Dwóch lat* w słowach: „Z tej samej przyczyny“ (z jakiej?). Osobna rubryka, *Opowiadanie*, w tomach VIII, IX i X złożona jest z napisów nad rozdziałami, które zamiast stać tam, gdzie właściwie dla nich miejsce, jak jest w *Jadwidze i Jagielle*, utworzyły coś, co się nikomu na nie nie przyda i tylko niepotrzebnie papier zajmuje. Stało się prztem, że część napisów należących do t. X ugrzęzła w T. IX i już jej ztamtąd nikt nie wydobędzie. Nawet ta okoliczność, że sam Szajnocha podobny porządek czy raczej nieporządek przyjął, nie mogłaby winy sterownictwa drukarskiego zatrzeć. Szkoda, że wydawca naukowy i literacki, czyli właściwy wydawca, pan Pawiński, nie umiał czy nie mógł wpłynąć na poprawienie złego, dopóki jeszcze był czas.

Codo księgarskiej wartości pierwszego ogólniejszego wydania pism Szajnochy, dokonane jest ono drukiem wyraźnym, na białym, grubym papierze; nie odznacza się taniością, ale też i drogiem nazwać go nie można.

Skale wartości księgozbiorowej obniża ta okoliczność, że wydanie, o którym mowa, nie mogło być zupełnem. Nie wszedł do niego ani wspaniały *Bolesław Chrobry*, ani mistrzowski *Mściciel*, ani *Pierwsze odrodzenie się*. Utwory poetyckie zupełnie pominięto. Podobnego losu doznały i prace w *Dzien. Lit.* w *Tygodnikach Polskim* i *Lwowskim*.

— *Przysłowia Salomona*, przełożone i objaśnione przez Izaaka Kramstücka (Kramstücka?) Warszawa, drukiem S. Orgelbranda Synów, 1878 (8-vo, str. III (spis prenumerat. i 124). Do przekładów, przytożonych w wyznaniową powagę, przybywa teraz przekład podjęty jako praca literacko-naukowa, przez doskonałego znawcę hebrajszczyzny, którego prace drukowała nawet przed laty *Bibl. Warsz.* W przedmowie tłómacz wyjaśnia rzeczywiste pojęcie, jakie się kryje w nazwie hebrajskiej *Proverbiorum Salomonis*, „Moszelim.“ Nie są to właściwie przysłowia, ale „zdania przeznaczone do rządzenia człowiekiem czyli nauki, któremi człowiek w wypadkach życia rządzić się winien;“ innymi słowy, są to raczej maksymy niż przysłowia w ścisłym znaczeniu. Porównywaliśmy nowy przekład z dawniejszymi: odznacza się on większą zwieźłością, i ta przy odpowiednim szyku wyrazów, stwierdza istotnie zaręczenie p. Kramstücka, iż praca którą daje czytelnikowi, jest tłómaczeniem dosłownem; że zwieźłością jednak nie wszędzie łączy się siła większa. Weźmy naprzykład piękny, obfitujący w mądrość, rozdział ostatni, XXXI. W przekładzie z greckiego — przy porównaniu z hebrajskim — wiersze 3—10 brzmią: „Nie dawaj niewiastom siły twojej, ani dróg twoich tym, którzy do zginienia króle przywodzą. Nie królom, Lemuelu, nie królom należy pić wino, a nie panom bawić się napojem mocnym; by snadź pijąc się zapomnieli na ustawy, a nie odmienili spraw wszystkich ludzi uciśnionych. Dajcie napój mocny ginącemu, a wino tym, którzy są ducha sfrasowanego. Niech się napije, a zapomni ubóstwa swego, a na utrapienie swoje niech więcej nie wspomni. Otwórz usta swe za niemym w sprawie wszystkich osadzonych na śmierć. Otwórz usta swe, sądz sprawiedliwie, a podejmię się sprawy ubogiego i nędznego.“ Up. Kramstücka czytamy: „Nie oddawaj kobietom swej siły — swoich dróg temu, co króle niszczy. Nie królom, Lemuelu, nie królom przystoi picie wina, ani książętom — chuć napojów; aby pijąc nie zapomnieli prawa i nie wykrzywiali sprawiedliwości wszystkim uciśnionym. Dajcie napój nieszczęśliwemu, a wino tym, co mają gorycz w sercu. On niech pije, by zapomnieli o swojej biedzie, aby o swoim cierpieniu nie wspomnieli więcej. Otwórz usta swe za niemego, za prawem wszystkich blizkich zagłady. Otwórz usta, sądz sprawiedliwie sprawę biednego i uciśnionego.“ Pięknym wyrażeniem w tym przekładzie jest *wykrzywanie sprawiedliwości*.“ Pan Kramstücek radzi wierszopisom, mającym wprawę pióra, aby Przysłowia Salomona w rymy

ujeli. Na próbę sam daje dziewięć dwuwierszy, pośród których znajduje się i ten, szczęście ułożony:

„Młodzieży siła przystoi,
Starość zaś siwizna stroi.“

— Jeden tom poezji nowych, nie zebranych z czasopism, ale wydrukowanych samoistnie, w naszych czasach taką już jest rzadkością i takim hazardem, że dwa aż podobne tomy, prawdziwie w podziwienie wprawić muszą. Mówimy to z powodu ukazania się w druku *Poezji Wandalina Szumowicza*; 2-a tomy, Warszawa, druk Sikorskiego, 1878, 8-vo duże (tom I str. 181; tom II str. 261). Imię autora nie jest nowem w literaturze. Przed dwudziestu kilku laty już wyszedł był w Warszawie zbiór poezji Wandalina Szumowicza. Nie wiemy czy w wydanym obecnie niema rzeczy dawnych; ale to wiemy, że nie wiele jest w nim rzeczy mających związek istotny z poezją i sztuką. Oprócz dwóch poematów opisowych: *Wojewoda Książski* (Książki), na tle stosunków Polski za Bolesława Krzywoustego z Rusią Halicką, w którym bohaterem jest posagowej postaci Piotr Dunin, a któremu wstęp więcej szkodzi niż pomaga, oraz powieści z bytu ludu Ukraińskiego, pod tytułem: *Molnija*, znajdują się tu jeszcze, z rzędu większych utworów: *Amineta*, szkic czarkieski, i ballada *Pierścień*. Wszystko inne pod ogólniejszą nazwą „poezji ulotnych“ podane, składa się z drobnych okolicznościowych wierszyków przeważnie egotycznych, a w tym znowu dziale głównie erotycznych. Nastrój ich szlachetny; znać w nich, że serce rozbiło się o rzeczywistość i cierpi. Przekonywają nas o tem szczególniejszym ustępy: *Pytania* (I, str. 124), *Smutno mi* (I, str. 158), *Ostatnia spowiedź* (I, str. 160), *Żeglarz* (II, 183), *Tulacz* (II, 198). Ze 130 wierszy i wierszyków lirycznych, znajdujących się w całym zbiorze, autor piętnaście poświęcił pamięci swej siostry Bronisławy, którą bardzo kochać musiał, a ze dwadzieścia wpisał do albumów różnym osobom. Z wymienienia pod wielu wierszami, miejscowości, gdzie były pisane, widać, że los rzucał autora po szerokim świecie, a poetyzowanie było dlań węzłem łączącym go z dalekimi (Zobacz: I, str. 148 i 157; II, str. 198, 210). Najlepszymi w całym zbiorze wydają nam się: *Dąb* (I, str. 142) i *Wielkość* (II, str. 192). Są to też dwa wiersze najmniej egotycznymi ze wszystkich. O poezjach Wandalina Szumowicza pisał temi czasy J. I. Kraszewski w jednym ze swych listów.

— Codziennik *Wiek* w Nr 96 z r. b., podał wiadomość o zaszłej w d. 23 Kwietnia r. b. w Petersburgu śmierci Juliana hr. Strutyńskiego, znanego w piśmiennictwie współczesnem pod imieniem „*Berlicza Sasa*“. Wiadomości tej dotychczas nie zaprzeczono, i wypada ją za wiarogodną uważać. Hr. Strutyński, po obfitem w niezwykłe przygody, burzliwym życiu, zmarł w 68 roku życia — z wielkiego niegdyś pana biedak zupełny. Wychowany we francuszczyźnie, jeszcze przed 40 z górą laty wydał *Essais poetiques* i *Lydia*. W parę lat potem już lira jego śpiewać zaczęła w ojczywej mowie (Wilno), nie wszakże wybitniejszego z siebie niewydając. W kilkanaście lat później wydał Str. *Kilka badań geologicznych i dziejowych Kaukazu*, na które nie zwróceno uwagi i przez kilkanaście znowu lat następnych nie było o nim słyhać w literaturze. Dopiero osiadłszy przed 10-u laty w Galicyi, człowiek już 60-letni, zaczął w wielkiej ilości snuć wspomnienia o ziemi, która go wydała, o ludziach i rzeczach, które bądź znał i widział, bądź też w źródłach rękopiśmiennych i w pamiętnikach domowych miał zaznaczone. Opowiadania jego odznaczają się wielkiem ożywieniem stylowym: jest w nich koloryt dziejowy; obok prawdy i fikcyi niemało zajmuje miejsca. Bibliografię znaleźć można w *Encyklopedyi Orgelbranda* mniejszej, w t. XI, wydanym już w r. 1876. W Warszawie wyszły w r. 1876: *Starościna Horodelska*, i drukowane w *Ktosach* z r. 1875 *Obrazki czasu i ludzi*; w r. 1877: *Dwie babki* (2 tomy). *Wiek* wymienia, jako pozostawiony w rękopiśmie, pamiętnik p. t. *Pan Jeremiasz*. Wszystkie pisma wspominają nadto o jakichś pamiętnikach, które jakoby nieboszcyk przed śmiercią miał spalić; ale twierdzenie to niezem nie jest poparte.

— Przed trzydziestu laty, w roku 1847, zmarła młoda dwudziestodwuletnia kobieta, *Helena Niemi-*

rowska, po której zostały rękopisma utworów powieściowych na tle przeszłości. Pozostałość rękopiśmienna obejmowała: trylogię z czasu panowania pierwszych trzech królów, kilka drobnych epizodów z epoki późniejszej, „trzytomową pracę” *Ossoliński* i wreszcie pamiętniki, przedstawiające tylko interes dla rodziny. W uczuciu miłości rodzinnej brat nieboszczki wydał teraz dwie powieści, o ile się zdaje, do pomienionej trylogii należące: *Oda, z czasów Mieczysława I Wygnaniec* z czasów Bolesława Wielkiego. Przez pomyłkę na tej ostatniej napisano „z X wieku”. Na czele znajduje się przedmowa wydawcy; do każdej powieści dodano objaśnienia. W obu utworach uderza nadzwyczajna staranność o nieobrażanie prawdy historycznej wydarzeniowej. Autorka trzymała się wiernie Naruszewicza. Obie powieści wyszły w jednej książce, ale z dwiema osobnymi paginacjami, w drukarni Krokoszyńskiej, 1878, in 12-o, str. IV, 160; 24 i 1 nlb.

HISTORIA ZBRODNI

TOM II.

DZIEŃ CZWARTY.

Zwycięstwo.

(Dalszy ciąg).

W tymże momencie dała się słyszeć wrzawa i stukanie kolbami o bruk.

— Stało się—szepnął Galvy—i zdmuchnął kaganek.

Po owym milczeniu, nastąpił piekielny hałas. Żołnierze bili kolbami karabinów o drzwi domów. Cudem prawie uszła ich oczu, furta naszego ambulansu. Gdyby ją choćby ramieniem dotknęli byli, przekonaliby się, że niezamknięta.

Głos oficera, jak się domyślać można, krzychał: Oświecić okna. Żołnierze kłękli. Słyszeliśmy ich: „Gdzie są ci łotrzy—czerwoni?” Przetrzasknijmy domy!

Ambulans pogrążony był w ciemności. Nie wymówiliśmy ani słówka, nie wydaliśmy westchnienia; umierający nawet, jakgdyby przeczuwał niebezpieczeństwo, przestał harczeć. Mała dziewczynka przytuliła się do mnie.

Jeden z żołnierzy krzychał: Gdzie mogli się schować?

Było ich ze trzydziestu.

Przeszukajmy domy.

Lecz usłyszeliśmy jak drugi rzekł na to: „Ba, a cóż ty chcesz robić w takiej ciemnej nocy — oni pewnie uciekli podziemiami.

— Wszystko jedno, przeszukajmy domy.

W tej chwili wypadł strzał z głębi ulicy.

Ten wystrzał ocalił nas.

Zapewne jeden z owych dwóch robotników strzelił, ażeby nas wyswobodzić.

— Ha! to ztamtąd!—krzyknęli żołnierze—oni są tam. I w całym pędzie pobiegli do miejsca, gdzie się dał słyszeć strzał. W ten sposób porzucili barykadę.

Galvy rzekł do mnie:

— Niema ich już,—wynośmy się szybko.

— Lecz ta biedna kobieta—rzekłem—zostawi myż ją tutaj?

— O!—zawołała—nie bójcie się o mnie, ja mam swój ambulans. Mam rannych, nawet zapalę ka-

ganek, gdy odejdziecie. Lecz mój biedny mąż nie wraca!

Galvy otworzył pocichu drzwi i rzucił okiem w ulicę. Kilku mieszkańców, posłuchawszy rozkazu, oświeciło okna, tak że cztery lub pięć lichtarzy migotało się w szybach. Przez to na ulicy było trochę widniej.

— Niema już nikogo — odezwał się mój towarzysz—ale śpieszmy się, bo pewnie powrócą.

Wyszliśmy—kobieta zamknęła za nami—a my przeleźliśmy barykadę, oddalając się wielkimi krokami. Przesunęliśmy się koło zabitego starca. Leżał tu ciągle na bruku blade oświetlonym niepewnym światłem okien; zdawało się, że śpi.

W chwili kiedyśmy dochodzili do drugiej barykady, posłyszeliśmy za sobą powracających żołnierzy.

Udało się nam jednak wśliznąć w rozwalone domy. Tu byliśmy bezpieczni. Galvy rzekł: Biją się od strony ulicy de Cléry.

Wyszedszy z tych domów, okrążyliśmy Halle, nie bez niebezpieczeństwa wpadnięcia w ręce patrolu, i to przemykając się z uliczki w uliczkę.

W ten sposób dosięgliśmy ulicy S-go Honorjusza.

Na rogu ulicy rozstaliśmy się ze sobą — bo rzeczywiście, jak mi powiedział — we dwóch niebezpieczniej aniżeli w jednego.

Dostałem się do rogu N. 19 na ulicy Richelieu.

Przechodząc przez ulicę de Bourdonnais, dostrzegaliśmy białą na placu S-go Eustachego. Wojska, które ztąd były wyruszyły na napad, jeszcze nie powróciły. Zaledwo strzegło placu kilka kompanij.

Słychać było wybuchy śmiechu. Żołnierze grzali się przy dużych ogniskach zapalonych tu i ówdzie. W ogniu najbliższym nas położonym, rozróżnić można było, jako paliwo, koła powozu służącego za barykadę.

* * *

Tejże samej nocy, prawie w tejże samej chwili, o kilka kroków ztamtąd, dokonywał się czyn ponury.

Po wzięciu barykady, na której poległ Piotr Tissié, siedmdziesięciu lub osmdziesięciu walecznych wymknęło się w porządku przez ulicę Saint-Sauveur. Doszli do ulicy Montorgueil i zgromadzili się przy zbiegu ulic Petit-Carreau i Cadran. Otóż w tym punkcie gdzie ulica Petit-Carreau dotyka ulicy Cléry, stała barykada opuszczona, dosyć wysoka i dobrze zbudowana. Waleczono na niej rano.

Żołnierze zdobyli ją, lecz jej nie zburzyli. Dla czego? Istniało, jakieśmy rzekli, kilka zagadek tego rodzaju w owym dniu.

Grupa uzbrojonych, przybyłych od ulicy S-go Dyonizjusza, zatrzymała się tu i czekała. Ci ludzie dziwili się, że nie są ścigani. Czyżby wojsko lękało się zabłąkać w pościgu za nimi, w te uliczki wąskie, gdzie każdy róg kamienicy może ukrywać zasadzkę? Czy też dano rozkaz odpowiedni? Słyszeli wreszcie tuż obok siebie, oczywiście na bulwarze, straszliwy odgłos kanonady, podobny do ciągłego grzmotu.

Niemając już amunicji, zmuszeni byli słuchać tylko. Gdyby byli wiedzieli co się tam działo, byłiby zrozumieli dlaczego ich nie ścigają.

Zaczynała się bowiem tam na bulwarze rzeź; a generałowie dowodzący nią, zaprzestali walki.

Uciekający z bulwaru przyplływali około nich, lecz skoro spostrzegli barykadę, cofali się. Lecz kilku przyłączyło się do nich w oburzeniu i wołając pomsty. Jeden, który mieszkał niedaleko, przyniósł małą skrzynkę kul.

Amunicja ta mogła wystarczyć na godzinę. Zaczęli więc budować barykadę na rogu ulicy Cadran.

W ten sposób ulica Petit-Carreau zamknięta dwiema barykadami, jedną ku ulicy Cléry, drugą ku rogowi ulicy Cadran, dominowała nad ulicą Montorgueil. Pomiędzy temi dwiema barykadami znajdowali się oni, jakby w cytadeli, a druga barykada mocniejszą była od pierwszej.

Niektórzy z tych ludzi wrywali bruk w rękawiczkach.

Byli pomiędzy nimi robotnicy, lecz sami inteligentni i energiczni, sam wybór tłumu.

Jan Sarre przyłączył się,—odrazu został ich dowódcą.

Charpentier towarzyszył mu—za dzielny, ażeby się cofnąć, za marzycielski, ażeby dowodzić.

Dwie też barykady, zamykające w tenże sam sposób ze 40 metrów ulicy Montorgueil, zbudowano na wysokości ulicy Mauconseil.

Trzy inne, ale bardzo słabe barykady, przecinały ulicę Montorgueil w przerwie, która oddziela ulicę Mauconseil od rogu S-go Eustachego.

Wieczór zbliżał się. Kanonada ustawała na bulwarach. Niespodziany atak był możliwym. Postawili więc placówkę na rogu ulicy Cadran i posłali oddział w stronę ulicy Montmartre. Ekleryerzy wrócili z pewnemi objaśnieniami, a mianowicie, że jeden pułk zabierał się do biwakowania na placu des Victoires.

Pozycya ich na pozór silna, nie była nią w rzeczywistości. Za nieliczni byli, ażeby bronić barykad na ulicach Cléry i Montorgueil, a wojsko, nadchodząc z tyłu, zakryte drugą barykadą, mogło wprzód napaść, zanim-by się spostrzegli. To zdecydowało ich do postawienia placówki na ulicy Cléry. Urządzili też komunikację z barykadami na ulicy Cadran i z dwiema z ulicy Mauconseil. Te dwie ostatnie oddalone były od nich zaledwo o jakie 150 kroków — dosyć mocne, i strzeżone zaledwo przez sześciu robotników.

Około wpół do piątej, o zmierzchu—jako w Grudniu—Sarre z czterema ludźmi poszedł na rekonesans. Chciał jeszcze zbudować barykadę przodową na jednej z małych uliczek sąsiednich. Po drodze, natknęli na jedną opuszczoną, a zbudowaną z desek. Lecz beczki były puste, w jednej zaledwo znajdowały się kamienie, zatem barykada ta wystarczyłaby mogła chyba na kilka minut. Pluton piechoty zaledwo widzialny o tej porze, stał tuż w pobliżu. Sarre cofnął się więc szybko, ale jeden z jego towarzyszy—szewc z przedmieścia Temple—dostał kulą i padł. Powracając, zabrali go z sobą. Miał strzaskany palec u prawej ręki. — Bogu dzięki — rzekł Sarre—nie zabili go. — Nie — odrzekł biedak — ale zabili mój chleb.

I dodał: Nie będę już mógł pracować, a któż wyżywi moje dzieci?

Z powrotem, jeden z uczniów medycyny opatrzył go.

Placówki, które trzeba było wszędzie rozstawiać, a które wybierano z pomiędzy najpewniejszych, wyczerpywały główną siłę. Zaledwo trzydziestu zostało się na barykadzie.

Tutaj, jak na przedmieściu Temple, wszystkie latarnie były pogaszone, rury gazowe przerwane, okna pozamykane i czarne.

Ani księżyc, ani gwiazdy—noc głęboka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy” dołącza się arkusz 17-ty powieści pod tytułem: *Zamek Daly*.

TREŚĆ. Z Albumu, poezya, przez H. Jabłońskiego. — Zadania moralne, przez Bronisława Chlebowskiego. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie. — Z działu przyrody, przez prof. K. Jurkiewicza — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe. — Historia zbrodni, W. Hugo, przełożył Edward Lubowski.